

MAŁY POSŁANIEC

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego“ Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 7.

Bydgoszcz, niedziela 4 kwietnia 1909.

Rok II.

Do naszych małych czytelników.

Każde z was, kochane dziatki, jest zapewne dobrym synem lub dobrą córką wspólnej naszej Matki — Ojczyzny. Jako wierne jej dzieci czcimy i kochamy wszystko to co nas z tą naszą Ojczyzną łączy, przede wszystkim zaś kochać powinniśmy naszą drogą mowę polską jako najsilniejszy łącznik pomiędzy Polską i jej dziećmi. Szkoła pruska nie pozwala dzieciom polskim na pielęgnowanie tego najdroższego skarbu naszego, tem więcej dzieci powinny w domu dbać o język ojczysty, uczyć się czytać i pisać po polsku.

Aby dzieciom ułatwić to kształcenie się w duchu narodowym, aby im być pomocnym w tej pracy świętej, aby i zachęcać i zapalać do nieustannego kształcenia się w mowie ojczystej, „Mały Posłaniec“ stara się usilnie podawać dzieciom rady i wskazówki, zakreślać drogi, jakimi iść powinny dzieci polskie. „Mały Posłaniec“ gorąco pragnie, aby dziatki jak najczęściej do niego pisały liściki, albowiem w ten sposób bezustannie ćwiczą się w polskim pisaniu i myśleniu.

Na przyszły raz niechaj nasi czytelnicy i czytelniczki napiszą, jakie znają sławne zasłużone Polki i co o nich wiedzą.

Wdzięczne serce.

Dzień kończył się, ale kula słoneczna stała jeszcze na niebie i siała blaski dokoła.

W blaskach tych Wisła i Łąki nadbrzeżne, i zamek sandomierski i domostwa do jego boków przytulone, wszystko lśniło się, błyszczało.

Niektóre okna zamkowe miały już wówczas drobne, okrągłe, w ołów oprawne szybki, które teraz w promieniach słońca świeciły jakby złote.

W pobliżu zamku cisza była, wróble jeno zbiegały się na zwykle sejmy wieczorne i po drzewach gwar czyniły wielki. Od rzeki płynęła wesoła piosenka.

Słowa jej dochodziły wyraźnie do narożnej, zamkowej komnaty.

Lecz nie słyszała ich pewnie u okna stojąca, głęboko zadumana niewiasta.

Była to Helena, wdowa po królu polskim, Kazimierzu Sprawiedliwym zmarłym nagle w 1194 roku.

Stoi królowa, rozmyśla, przypomina sobie wszystko, co się od śmierci mężowskiej stało, a łzy ciężkie i wielkie z oczu jej spływają.

Najpierw był spór między panami, co zrobić, uznać, czy nie uznać małoletniego Leszka za króla, potem obrali mu dwu opiekunów, a rządy państwa, matce Helenie, niby to, oddali.

Niby to, bo w rzeczywistości sami rządzą.

Później znowu zaczął wicherzyć w kraju, brat Kazimierzowy, Mieczysław, Starym zwany. Korony i panowania gwałtem mu się chciało. Krew popłynęła. — Wreszcie udał się Mieczysław do królowej Heleny i powiedział:

— Nie będzie końca tym waśniom, póki mi nie ustąpicie tronu.

I dopóty łudził, obiecywał, aż mu królowa uwierzyła i wyjechała z synami do Sandomierza.

I cóż się potem stało?

Stało się bardzo źle. Mieczysław Stary żadnej obietnicy nie spełnił, a spokój i cisza wcale za jego rządów do kraju nie wróciły. Nacierpiała się wówczas biedna królowa niemało.

Doradcą jej i pocieszycielem był trzeci opiekun Leszka, opiekun nie z urzędu, lecz z serca, sędziwy Goworek Rawita, dawny druh Kazimierza Sprawiedliwego.

Królowa i królewicz za serce, sercem również płacili Goworkowi.

Zazdrościł mu tego przywiązania Mikołaj, wojewoda Krakowski i wszelkimi sposobami pragnął pozbyć się Goworka z kraju.

Nakoniec umarł Mieczysław Stary. Po jego śmierci w Polsce znowu zaczęły się kłótnie, bo jedni byli za Leszkiem, drudzy za synem Mieczysława.

O tem wszystkim rozmyśla królowa, nie słyszy nawet jak skrzypnęły drzwi i do komnaty wszedł mąż sędziwy.

Był to Goworek.

— Znowu widzę was we łzach, miłościwa pani, — rzekł cicho. Bądźcież dobrej myśli. Bóg zasmucił, Bóg pocieszy. Toć nietylko do smutku macie powody. Czyż starszy syn wasz, Leszek, nie wzrasta na waszą pociechę? Przewali go Białym dla jasnych włosów, ale

raczej dla serca zwać go trzeba, boć czyste ono i białe niby świeżo spadłe śniegi.

— Tak, wiem o tem — odparła królowa. Cała dobroć ojcowska w niego wstąpiła.

— Więc też rozjaśnijcie oblicze, pani miłościwa. Coś mi w duszy szepce, że koniec waszych smutków bliski. Jeno patrzeć, jak na głowie królewicza spocznie korona.

A dziwnym trafem, właśnie gdy Goworek pocieszał królową, do Sandomierza dążyło poselstwo z Krakowa, i tegoż wieczoru jeszcze zatrzymało się u wrót zamkowych.

Nazajutrz w paradnej sali udzielono rycerzom posłuchania.

Zasiadła królowa w krześle purpurą okrytem, obok niej stanął Leszek Biały.

Weszli posłowie, skłonili się nisko, i w pięknych słowach prosili Leszka, by objął rządy kraju.

Były jednak między temi słodkimi słowy takie, które goryczą napelniły serce młodzieńca.

Ofiarowano mu koronę, lecz pod warunkiem, by Goworka, swego nauczyciela i opiekuna, na zawsze od siebie oddalił. Mikołaj, wojewoda krakowski, żądał tego.

Oburzył się królewicz na ów warunek, posłom jednak swego oburzenia nie okazał. Rzekł tylko.

— Poczekajcie! Odpowiedź wnet otrzymacie!

Miał on natychmiast odpowiedź gotową, jeno nie chciał, by posłowie sądzili, że bez namysłu i rozwagi działa, dlatego więc odłożył ją na dzień następny.

Aż tu skoro Leszek sam pozostał, zbliża się Goworek i jak nie zacznie go prosić, jak nie zacznie namawiać, by ów warunek przyjął.

— Nie namyślaj się królewiczu — mówił, utrata Goworka jest mniejsza, niżli utrata państwa. Pójdę z chęcią na wygnanie, bo twoje serce będzie ze mną. Zgódź się na podany warunek.

Przekonywał tak Leszka, lecz napróżno, bo ten mu rzekł:

— Ja miałbym wyrzec się ciebie, nauczycielu i opiekunie!

O, nie, tego nigdy nie uczynię!

Zaraz też posłów przywołać rozkazał i taką dał im odpowiedź:

— Wracajcie do Krakowa i szukajcie sobie innego króla. Wolę stracić koronę, niż przyjaciele.

— Odeszli posłowie ze wstydem wielkim, poprosili na tron syna Mieczysława Starego, ale i w kilka lat później, znowu do Leszka wrócili. A pamiętni otrzymanej poprzednio odprawy, żadnych mu już nie stawiali warunków.

Leszek Biały przyjął koronę w r. 1206, rządził długo, długo, i również jak ojciec miłość narodu pozyskał.

Stopka Królowej Jadwigi.

W Krakowie na przedmieściu, zwanem Piasek, budowano kościół na cześć i chwałę Najśw. Panny. Jeden z mularzy pracował co sił starczyło, dźwigał ciężkie kamienie, narzucał je wapnem i ani na chwilę nie spoczął. Nie był wszakże tak wesołym, jak inni, twarz jego była zasepiona smutkiem i boleścią a zamiast śpiewać wesoło, jak inni towarzysze, od czasu do czasu ocierał łzy z oczu.

Z zamku królewskiego wyszła królowa Jadwiga z mężem Władysławem Jagiellą i liczną drużyną dworzan. Wszyscy szli prosto na Piasek przypatrzeć się budowie kościoła. Lecz zaledwie stanęli na miejscu, dostrzegła królowa smutek mularza. Zapytała go więc natychmiast o powód zmartwienia.

— Miłościwa Pani! — rzekł mularz kłaniając się do stóp królowej — żona moja leży chora, w gorączce bez przytomności. O drobnych dzieciach nie ma kto pamiętać, chodzą więc głodne i obdarte. Praca moja nie wystarcza na to, aby żonę leczyć, a dzieci nakarmić i odziać...

Tu wzruszenie zatamowało mu mowę, a twarz rzewnemi oblała się łzami.

Seisnęło się serce królowej Jadwidze, gdy to usłyszała. Wsparła nogę na leżącym kamieniu, a schyliwszy się, odjęła od trzewika kosztowną sprzączkę i dała ją biednemu mularzowi, mówiąc:

— Nie mam z sobą pieniędzy, lecz weź ten klejnot a on przywróci zdrowie twojej żonie, odzieje i nakarmi twe dzieci.

Na ten widok król i dworzanie dorzucili także hojne datki, a biedny rzemieślnik stał się bogatym w jednej chwili. Upadł do nóg swoim dobrodziejom, a kiedy odeszli, spostrzegł na kamieniu, na którym Jadwiga swą nogę oparła, wyraźny ślad jej stopy, gdyż kamień ten był przed chwilą wapnem narzucony. Chwycił więc za młot i dłuto i na pamiątkę szczęśliwej godziny, wykuł w kamieniu ślad stopy litościwej.

Po dziś dzień w murze kościoła Najśw. Maryi Panny na Piasku, widzieć można ten wykuty ślad stopy, a ludzie go zowią stopką królowej Jadwigi.

Mickiewicz jako ojciec rodziny.

(Ciąg dalszy).

Gościnnie dom państwa Mickiewiczów w Paryżu często i licznie był odwiedzany przez tułaczów Polaków, mieszkających w stolicy Francji, a tęskniących za Ojczyzną, z której zostali wygnani.

Nikt może goręcej nie pragnął powrotu do Ojczyzny, jak Mickiewicz, a nie mogąc „cudem wrócić na Ojczyzny łono“ pragnął przynajmniej w dzieci swe przelać owe gorące umiłowanie rzeczy ojczystych, miłość ku rodzinnej ziemi, do której niestety już nie miał powrócić.

Nie tylko tęsknota za Ojczyzną dokuczala boleśnie Mickiewiczowi; były w życiu jego rozliczne inne smutki i bóle. Zona jego ukochana, zawsze wesola, skrzętna i pracowita zapadła na ciężką chorobę umysłową i musiała być umieszczoną w zakładzie obłąkanych, gdzie wkrótce umarła. Był to ciężki cios dla poety. Choroba żony wyczerpała jego fundusze do tego stopnia, że zmuszony był zastawić zegarek na zaspokojenie potrzeb codziennych.

Znalazł dla dzieci częściową opiekę u ludzi życzliwych, gdyż bardzo był kochany wśród rodaków, ale nieszczęścia rodzinne i nieszczęścia Ojczyzny gnębiły odtąd nieustannie serce jego tak czule, które miłością swoją objęło nie tylko rodzinę, ale cały naród.

Choć sam obarczony troską o dzieci, przemyślał poeta nad tem, jakby dopomódz bratu swemu Franciszkowi, który również wygnany z kraju, żył w ubóstwie i ofiarował mu wspinałomyślnie część dochodu ze sprzedaży swych poezyi! (Ciąg dalszy nastąpi.)

Władysław Jagiello.

(Ciąg dalszy.)

W tym celu zwołano do Wilna świetne zebranie na którym postanowiono, że bałwochwalstwo zostanie zniesione i wiara chrześcijańska odtąd zapanuje w całym narodzie. — Nie łatwo było Litwinów upartych i silnie przywiązanych do swych pogańskich obrzędów przekonać o nicości i niedorzeczności pogaństwa. Dopiero gdy król Jagiello kazał zagasić święty ogień utrzymywany nieustannie na cześć bogów, gdy kazał spalić wielki pień drzewa, na którym obyczajem pogańskim żywcem palono pojmanych w wojnie jeńców — gdy kazał zabijać święte węże*) — wtedy Litwini zdumieni i przerażeni poznali jawnie bezsilność swych bogów i gromadnie przyjmowali chrzest święty.

Jagiello i Jadwiga byli rodzicami chrześtnymi narodu litewskiego. Dla podniesienia tej uroczystości i niejako jako nagrodę z rozkazu królewskiego rozdawano nowo ochrzczonym białe suknie. Litwini, a zwłaszcza Litwinki próżne i lubiące strój (jak zwykle kobiety!) z wdzięcznością przyjmowały piękne białe szaty, jakich dotychczas nie miały.

Chrzest Litwy odbywał się nie pojedynczo, jak w dzisiejszych czasach, lecz gromadnie tj. nadawano pewnej gromadzie ludzi imię Piotr, Jan, Jadwiga, Zofia i t. d.

Papież Urban przesłał królowi list pełen wyrazów dziękczynienia i radości z powodu pozyskania dla Kościoła narodu tak dzielnego i założył na Litwie dwa biskupstwa: Wileńskie i Zmudzkie oraz kilka kościołów, które pobożna królowa Jadwiga zaopatrzyła w kielichy, krzyże, obrazy i własnoręcznie haftowane ornaty.

*) W pogańskiej Litwie wąż jak u nas psy i koty, był zwierzęciem ulubionem. Uważano go za świętą istotę. Były to oczywiście węże niejadowite.

Ogniem i mieczem.

Powieść z lat dawnych

Henryka Sienkiewicza.

(Ciąg dalszy).

— Wziąć to ścierwo ludzkie i w chlewie rzucić, a strzedz jak oka w głowie.

W istocie tam porzucono Zagłobę i mołojcy strzegli go, siedząc w koło chlewa i rozmawiając.

Zagłoba, leżąc na gnoju w chlewie, przemyślał nad sposobami, jakby się stamtąd wydostać. Rzecz była do niewykonania, a jednak przez jednostajny ruch wysunął się Zagłoba od szabli, a raz uwolniony, po drabinie na strych się wdrapał i drabinę wciągnął, postanowiwszy sobie, że go kozacy żywcem nie wezmą. Mogło tylko to jeszcze nastąpić, iż go z chlewem spała.

Zagłoba zdecydował się już na to i bąknął do siebie:

— Wszystko mi jedno, czy mnie krucy zdziobią pieczonego, czy surowego!

Zrobił sobie dziurę w strzesze i patrzył na krajobraz w cieniu nocy. Opodal leżeli jego ludzie, z tyłu powiązani.

Gdy straże zmieniono przyszli kozacy zobaczyć, czy wraży syn nie uciekł. Strach ich zdjął, gdy go nie znaleźli. Wiara w czary dyktowała im przypuszczenie, iż zapadł się w ziemię.

Gdy go wszakże odkryli na strychu, po drabince ze sznurów i spis kozackich wdrapywał się jeden po drugim, ale ledwo wlaźł który, padał tylko tułów i odcięta głowa. Zagłoba rąbał z wilczą wściekłością.

Na krzyki kozaków nadbiegł Bohun, zerwawszy się z pościeli, bez czapki, w szarawarach tylko i koszuli, w rękę miał gołą szablę, w oczach płomień.

— Przez dach, psiawiary! — krzyknął.

A Zagłoba ujrzawszy go ryczał:

— Chamie, pójdźno tu tylko. Nos i uszy ci obetnę, gardła nie wezmę, bo to kata własność. A co? Tehórz cię obleciał? Boisz się, parobku? Związać mi tego szelmę, a łaskę znajdziecie. Cóż, wisielcze! Sam tu! Chodź, chodź, będę ci rad.

Krokwie dachu zaczęły trzeszczeć. Zagłoba skoczył w kąt, by tam zginąć.

Wtem dały się słyszeć strzały. Kozacy wybiegli na dziedziniec. Zagłoba patrzył przez dziurę w dachu, nie pojmuwał, co to znaczy, aż ujrzał małego pana Wołodyjowskiego, jak na swym gniadym koniu głosem i buławą wydawał rozkazy. O, bo pan Wołodyjowski był to mistrz nad mistrzami, żołnierz z krwi i kości, więc bitwy nie tracił z oka, ale poprawiwszy tu i ówdzie, znowu wracał i patrzył, właśnie jak ów, który kapelą kierując czasem sam zagra, czasem grać przestaje, a nad wszystkimi ustawicznie czuwa, aby każdy swoje odegrał.

Zagłoba nie posiadał się z radości, a cóż dopiero, gdy zobaczył w gonitwie Bohuna

i Wołodyjowskiego, a za chwilę patrzy... pan Wołodyjowski jedzie na karku Bohuna jak ogar na dziku. Bohun padł — a Wołodyjowski tratując po nim, pędzi za innymi.

— Trzymaj! trzymaj! — ryczy Zagłoba — to Bohun.

Ale tego wołania nie słyszano.

Gdy* wszystko ucichło, spuścił Zagłoba drabinę i szedł na majdan, powtarzając sobie:

— Wolnym jest!

Niebawem spotkał się z Wołodyjowskim, pokazał mu ile w chlewie kozaków narzwał, a w końcu rzekł:

— Bogu dziękujmy, że nam obydwom zesłał zwycięstwo!

Pan Wołodyjowski spojrzał nań zdumiony. Jakoś dotąd zdawało mu się, że to on sam odniósł zwycięstwo, którem pan Zamojski chciał się z nim podzielić.

* * *

Zaledwo trzeciego dnia zebrała się koło Bohuna garstka rozproszonych mołojców.

Wstyd go palił, gdy był sam, chwycił się za głowę i krzyczał:

— Gdzie moja sława mołojcka, gdzie moja szabla-drużka?

Potem spijał się, jak nieboże stworzenie i porywał go dziki obłęd. Szedł do Krzywonosy, ale po drodze pobiły go oddziały Podbięty i Skrzetuskiego. Sam więc bez kozaków dotarł do Krzywonosy, który wodzów zwyciężonych zazwyczaj srodze karał, lecz tym razem łagodnie się obszedł z Bohunem.

Tymczasem czterej książęcy rycerze, napełniwszy kraj grozą i przestachem, stanęli szczęśliwie z powrotem w Jarmolińcach, gdzie w jednej stanęli kwaterze i zdawali sprawę panu Skrzetuskiemu.

Zagłoba nikomu nie chciał dać przyjąć do słowa, i w istocie, on miał najwięcej do opowiadania. Gdy zaczął mówić, iż wie coś o Helenie, cisza głęboka nastąpiła między rycerzami.

— Jeżeli kłamie — mówił Zagłoba — niech mnie piorun zapali. Jest ona w Bohunowem reku. Krzywdy on jej żadnej nie uczynił, chce wziąć ślub z nią, aż po wojnie, a teraz podsłuchałem, jak mówili mołojcy, że jest ona za Jampolem — gdzieś około Jahorliku.

A na to Skrzetuski:

— Choćby dziesięć razy dać gardło, będę jej szukał.

— I my z tobą, zawołali przyjaciele.

— Toć i ja się na coś przydam, braciaszki — rzecze Litwin Longinus.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Piosenki dla naszej dziatwy.

Już tyle razy słońce wracało...

Już tyle razy słońce wracało,
I blaskiem swoim dzień szczyści,
A memu światłu cóż to się stało,
Że mi dotychczas nie świeci?

Już się i zboże do góry wzbilo
I ledwie nie ktoś chce wydać;
Całe się pole zazieleniło,
Mojej pszenicy nie widać!

Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni,
Gaj mu się cały odzywa:
Kłóca powietrze ptaszkiwie leśni,
A mój mi ptaszek nie śpiewa!

Już tyle kwiatów ziemia wydała
Po onegdajszej powodzi!
W różne się barwy łąka przybrała;
A mój mi kwiatek nie wschodzi!

O wiosno! pókiż będę cię prosił,
Gospodarz zewsząd stroskany?
Jużem dość ziemię łzami urosił,
Wróc mi urodzaj kochany!

Krakowiak.

Jestem krakowiaczek,
Z tamtej Wisły strony,
Gdzie jodłowy krzaczek
Naszej wsi zagony.

Wesołość w mym progu,
Choć ubóstwo w domu,
Lecz też dzięki Bogu!
Nie dłużnym nikomu.

Para koni w domu,
Para wołów w pługu,
Domeczek ubogi,
Bez żadnego długu.

Za górą krynicyna (granica),
Tam się coś zieleni,
To moja pszenica,
Będzie grosz w kieszeni.

Oj! tanio jej nie dam,
W Krakowie ją sprzedam,
Tam dobrze zapłaca,
Będzie hulać za co.

Zagadka.

Tworzą mnie cztery zgłoski czyli sylaby.
Pierwsze i czwarte są głoski czyli litery.
Drugie i czwarte święte miasto u mahometan.
Czwarte i trzecie sypią się na winowajców, a mianowicie na redaktorów polskich w Prusach.
Całość kraj daleki, gdzie żyją liczni Polacy.

Rozwiązanie

zagadki z ostatniego numeru:

Korki — Kordecki.

Rozwiązanie zagadki nadesłali: Joanna Ledzińska z Wudzyna, Elżbieta Rakowska z Nakła i Antoni Tuleja z Chrystkowa.

Liściki nadesłali: Zygmunt Świetlik z Wudzyna i Joanna Ledzińska z Wudzyna.

Nagrodę otrzyma: Antoni Tuleja z Chrystkowa; prosimy go o dokładny adres.